



# Jednodniówka



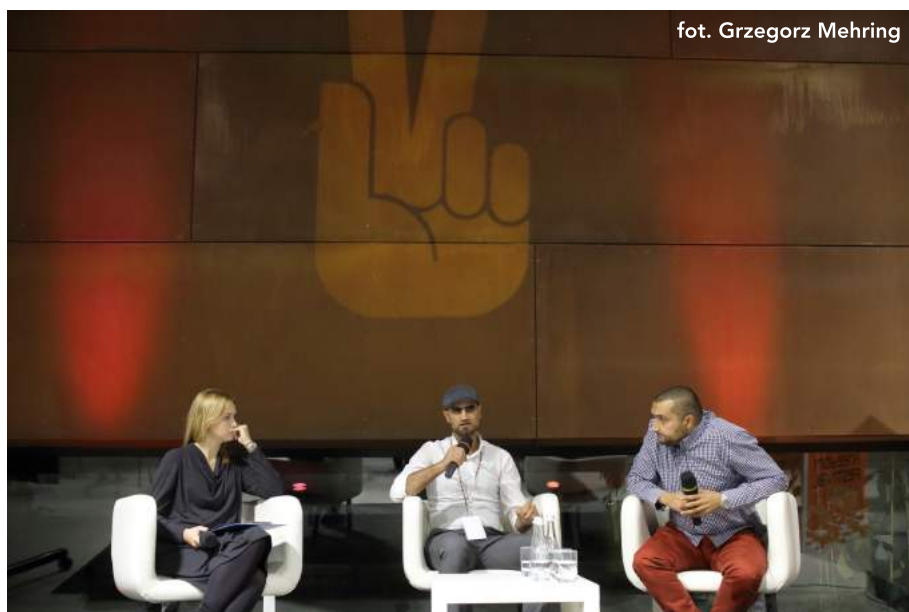
Organ prasowy  
10. All About Freedom Festival

Szósty dzień festiwalu  
19 października 2016

## The War Talk

ROZMAWIAJĄ KINGA WEINBERGER I MICHAŁ SUPERSON

Świeżo po seansie *The War Show* rozmawiają studenci I roku Wiedzy o Filmie i Kulturze Audiowizualnej.



### DZISIAJ GRAMY

18:00

**Dobry Amerykanin,**

reż. Friedrich Moser,

Obaidah Zytoon

101 min.

+ rozmowa po filmie

20:00

**Słodkich snów,**

reż. Marco Bellocchio

131 min.

**Michał:** Tuż po filmie. Pierwsze wrażenia?

**Kinga:** Jestem wstrząśnięta. Wydawałoby się, że o sytuacji Syrii od Arabskiej Wiosny po dzień dzisiejszy, o których tak głośno ostatnio w mediach, już wiadomo wszystko. Jednak widok na te wydarzenia, okrutną wojnę, z perspektywy osoby uczestniczącej w każdym jej aspekcie, zupełnie odmienia pogląd na to wszystko. Trudno mi będzie ochłonąć jeszcze przez dłuższy czas.

**Michał:** Zupełnie się z Tobą zgadzam. Jedną rzecz oglądać obrazy w wiadomościach, starannie przygotowane reportaże, podkład z głosem prezentera, któremu zapłacono za zrobienie tego, a co innego oglądać po prostu życie osoby, która podzieliła się swoimi najgorszymi koszmarami. To, że jest to dzieło tak personalne – „domowy filmy” nagrywany drżącą ręką – zdecydowanie podnosi walory filmu.

**Kinga:** Filmowi Dalsgaard i Zytoon na pewno udało się poruszyć widza, jednak z tak tragiczną i prawdziwą historią prezenterki radiowej, która zaczyna uczęszczać na demonstracje, nie jest to trudne. Stąd moje pytanie: co sądzisz o aspekcie czysto technicznym tego dokumentu?

**Michał:** W filmie podobała mi się najbardziej prawda, która była widoczna na każdej płaszczyźnie, przekazana jako amatorski obraz osoby, która znajduje się w centrum wydarzeń. a także to, że w dużej mierze pozbawiony był cenzury estetycznej i pokazał wojenną brutalność, która dotyka każdego bez względu na status. Obraz był bardzo prosty i jednocześnie chaotyczny, gdyby tego zabrakło, film mocno by ucierpiał. Mimo że sam jestem fanem wypracowanej estetyki, to całkowicie rozumiem koncepcję, jaką obrali twórcy. Wstrząsnąć

dzisiejszym widzom nie jest łatwo, a przemyślane użycie amatorskiej techniki podbiło i tak już bardzo realistyczny odbiór dzieła. Co powiesz o samym podziale filmu na 7 rozdziałów?

**Kinga:** Zdecydowanie, szczególnie, że trudno wyzbyć się prostoty, gdy nagrywano tym, co miało się pod ręką. Fragmenty filmu były przecież częściowo materiałami pobranymi z Internetu, dodanymi przez uczestników brutalnych walk na ulicach, usiłujących uchwycić to, co naprawdę się dzieje wewnątrz ich kraju. Podobało mi się również to, że było widać jak tamtejsza ludność potrzebowała obecności kamery mając nadzieję, że uświadomi to Europejczykom i Amerykanom, jakie zbrodnie dzieją się na wschód od Morza Śródziemnego. Jednak coś, na co twórcy mieli znaczący wpływ, to montaż, który według mnie był zbyt chaotyczny i momentami miałam problem

z odnalezieniem się w czasie lub w bohaterach. Wracając do Twojego pytania, to właśnie ten podział wydał mi się wymuszony i nie widziałam żadnego jego logicznego uzasadnienia.

**Michał:** Mnie podział przypadł do gustu. Zauważyłem w nim pewną chronologię i próbę budowania napięcia. Reżyserzy w bardzo świadomy sposób kierowali odczuciami widza. Od pierwszego do czwartego rozdziału, a potem w szóstym i siódmym, pokazali bardzo mocny obraz rewolucji, która przerodziła się w wojnę. Natomiast rozdział piąty był, w moim odczuciu, bardzo melancholijny. Wyjazd na krótkie wakacje i łączenie się z naturą było dla bohaterów poszukiwaniem wolności, której, jak powtarzali, w Syrii nigdy nie udało im się poznać. Pokazał ich jako zwykłych młodych ludzi, którzy bawią się i cieszą chwilą odpoczynku. To był jedyny moment, kiedy uśmiechałem się podczas oglądania, czułem ich szczęście, było takie prawdziwe. Tym bardziej cieszę się, że po filmie mieliśmy możliwość uczestniczyć w debacie z Omarem Alshafim, który był kolejnym niepodważalnym świadkiem prawdy tego wieczoru. Otworzył się przed uczestnikami spotkania i łamiącym głosem opowiadał swoją ciężką historię. Widziałem po Tobie, że byłaś mocno poruszona.

**Kinga:** Nie tylko jego słowa mnie poruszyły. Oczy Omara to oczy człowieka, który widział i przeżył wiele. Jestem



foto. Grzegorz Mehring

wdzięczna, że miał odwagę się podzielić z nami tym, co przeszedł przed wyjazdem z Syrii do Berlina oraz swoją karkołomną podróżą. Z pewnością było to przeżycie pouczające, otwierające wręcz oczy. Omar rozmawiał nie tylko o czasie minionym, ale również o tym, czym się zajmuje teraz w Berlinie. Stworzył aplikację, która będzie pomagać w załatwianiu spraw ludziom w podobnej do jego sytuacji. Widać było rozgoryczenie, gdy mówił o tym, że powszechnie myśli się o uchodźcach jako osobach niewykształconych, niepotrafiących odnaleźć się w społeczeństwie. Opinie te jednak znacząco odbiegają od rzeczywistości. Na pytanie o to, czy uważa pomaganie takim ludziom jak on poprzez wysyłanie żywności, leków czy funduszy, jak planuje

to robić polski rząd, jest sensowne, odpowiedział, że każda pomoc jest dobra, ale do pewnego czasu. Kluczem jest nauczenie samodzielności z daleka od ojczyzny: „trzeba nauczyć łowić, a nie dawać ciągle rybę”. Gdy ktoś z widowni zapytał za czym najbardziej tęskni w swoim rodzinnym Damaszku, odpowiedział tak, jak odpowiedziałby każdy z nas – za normalnym życiem. Najbardziej jednak tęskni za mamą. To chwyciło mnie za serce. A Ty? Co najbardziej zapamiętałeś ze spotkania?

**Michał:** W stu procentach zgadzam się z Tobą, że najbardziej poruszająca była wypowiedź Omara o tęsknocie za mamą. Tęskni za domem, swoim krajem, dzielnicą, jedzeniem, ale czymś, co nie daje mu możliwości poczuć się w Europie jak u siebie, jest brak mamy. Gdy o tym mówił i widziałem jego twarz, mogłem tylko domyślać się, co w tej chwili czuje i ile smutnych wspomnień pojawiło się w jego umyśle. To straszne, że żyjemy w czasach, w których bardziej dba się o rozwój technologii niż o pomoc innym ludziom w prowadzeniu godnego życia. W całej płątanie klótni dotyczących uchodźców zapomina się o najważniejszym: powinno się, jak zauważył Omar, rozmawiać z nimi – nie o nich, bo wtedy dają się poznać jako zwykli ludzie, którzy oczekują jedynie serdeczności i pomocy przy starcie w nowe życie.



foto. Grzegorz Mehring

# Czesi przeciw Czechom: Porozmawiajmy o nienawiści

ZUZANNA JOCEK

**Co się stanie, gdy młody, czeski reżyser zamieszka wśród romskiej społeczności? Czym jest nienawiść i jaką ma twarz? Co tak naprawdę nas dzieli? W swoim dokumencie Tomáš Kratochvíl nie pozostawia nas bez odpowiedzi, jednocześnie zadaje nam pytania, na które odpowiedzi musimy szukać sami w sobie.**

Upředzenia są granicą, za którą ukrywamy wszystko to, co wydaje nam się potencjalnie niebezpieczne. Ich siła jest o tyle zwodnicza, że w konfrontacji z rzeczywistością często nie jesteśmy w stanie określić, co tak naprawdę jest naszym realnym wnioskiem, a co wypadkową stronniczych obserwacji i dawno istniejącej już w naszej głowie opinii. Jak przeskoczyć ową przeszkodę? Jak pokazuje film Tomáša Kratochvíla pierwszym krokiem jest przezwyciężenia strachu. To ta decyzja, obok potrzeby poradzenia sobie ze złamanym sercem, pcha reżysera do opuszczenia swojego lokum w centrum Pragi i zamieszkania na prowincji w romskim getcie, by na własnej skórze, wyzbywając się wszystkich stereotypów, dowiedzieć się, kim tak naprawdę są Cyganie. Pracuje z nimi, je przy jednym stole, bawi się, pożycza im pieniądze. W ten sposób staje się częścią ich społeczeństwa i odkrywa przed nami, jak niewiele nas w gruncie rzeczy różni.

Przez ostatnie lata społeczeństwo czeskie wyraźnie się nacjonalizuje, co w pierwszym odruchu prowadzi do piętnowania odmienności i rodzenia się nienawiści wobec mniejszości, w tym

Romów. Reżyser poszukuje przyczyn owej niechęci u źródła i konfrontuje je z nastrojami społeczeństwa. Za co tak naprawdę Czesi znienawidzili Romów? Wydaje się, że odpowiedzią jest frustracja zrodzona z codzienności, potrzeby wyszukania winowajcy wszystkich chorób, jakie trawia państwo czeskie. Odkrywa przed nami powszechność takiego osądu: nie tylko politycy i działacze nacjonalistyczni, ale i zwykli obywatele czy nawet dzieci poddały się sile uprzedzeń i czują potrzebę zadośćuczynienia za winy, jakie ciążyą na sumieniach Romów. Wydaje się momentami, że autor postawił tezę, którą usilnie próbuje udowodnić: to Czesi są niebezpieczni dla Romów, nie na odwrót, to oni chcą wyrządzić krzywdę komuś, kto nic złego nie zrobił. Gdy jednak pojawia się możliwość dialogu, to właśnie strona romska odmawia, odsłaniając równie silną niechęć i potrzebę zemsty. Odsłania to smutną prawdę o tym, jak łatwo jesteśmy skłonni do niechęci, jak silnie staramy się walczyć o swoje. Kratochvíl stając się mieszkańcem romskiego getta, ma możliwość ukazywania żyjących tam ludzi

w mikroskali, która bywa bezwzględnie krytyczna, znacznie częściej jednak pozwala zrozumieć, jak bardzo „nasi” są ci „inni”. Z drugiej strony prowadzi rozmowy z członkami swojej własnej rodziny prowokując ich do tego, by na własnej skórze przekonali się, jacy tak naprawdę są Romowie, by przestali się ich bać i zwalczyli w sobie niechęć i uprzedzenia. Gdy po kilku miesiącach dochodzi wreszcie do spotkania na trzydziestych urodzinach autora, okazuje się, że różni nas jedynie odcień skóry, że gdy usiądziemy przy jednym stole, jesteśmy sobie równi. Pękają mury i znajduje się miejsce na życzliwość, serdeczność, zabawę i śmiech. Odkrywamy, że to, co nas dzieli, nie jest w stanie przeszkodzić nam w kontaktach, wystarczy, że zrobimy jeden krok poza nasze opinie.

Czesi przeciw Czechom to film o przebijaniu się przez mury uprzedzeń i próbach zatrzymywania niechęci. To także obraz tego, jak niewiele nas w gruncie rzeczy dzieli, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy. Finalnie to historia pogodzenia się dwóch światów, dwóch rodzin, a w końcu – człowieka samego ze sobą.



# Jak wszyscy są inni, to nikt nie jest

PAWEŁ PANIEC

*Kiedy nie wiadomo o co chodzi, chodzi o... ego.*

Ja

Zacząłem się niewinnie, od upodobania do literatury faktu. I należało na tym poprzestać, czytać po kątach i się zbytnio nie afiszować, w końcu w naszym kraju regularna lektura to odstępstwo od normy. Ale podkuśło mnie i zacząłem dyskutować, nawet do stosownego klubu się zapisałem i grupowo uprawialiśmy najgorszą z rozpust - myślenie. Nie ukrywam, dobrze mi z tym było, innym chyba też. Siadaliśmy w dizajnersko wypawanym wnętrzu biblioteki Europejskiego Centrum Solidarności, chłonęliśmy energię pokoleń walczących o lepsze jutro i kulturalnymi słowami wylewaliśmy z siebie spostrzeżenia i diagnozy, przekonywaliśmy o dobrych intencjach, sączyliśmy recepty dla świata, dzieliiliśmy lękami przed złym Lewiatanem i ładowaliśmy akumulatory do następnego spotkania, by dźwignąć jakoś to, że na co dzień Wielki brat, tekstylnia z Bangladeszu i Biedronka. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. (I tu już powinienem się zaniepokoić.) Przecież słowo ma zmieniać świat, w czyn się zamieniać, a nie tylko jak perfuma osiadać na nas i ulatywać. (A tu już dzwon alarmowy powinien walić, jak na pożar.) Zapisałem się na warsztaty reporterskie. Duża sprawa, bo sama Grzebałkowska miała prowadzić. Wiecie, x. Twardowski, Beksiński, Nike itede itepe. Trzeba było zgłoszenie napisać. Nie wiedziałem, co napisać, to napisałem, że nie wiem co napisać. I chwyciło. I znowu biblioteka ECSu, dizajnersko, drewno, metal, szkło a w domyśle krew, pot i łzy tych co czasem za wolność naszą i waszą, a czasem żywią i bronią. A my na kanapkach, z herbatką mandarynkową. Grzebałkowska paluszkami jak szczudełka wyławia krakersiki z miseczki.

- No weźcie też, żeby mi głupio nie było - dobywa basik ze swego chudego jestestwa.

Moglibyśmy tak sobie chrupać do rana,

bo było przyjemnie, no ale miało jeszcze być z pożytecznym. Nikt nie zapomniał, że dookoła naszej eceesowej arki nieszczęścia się piętrzą, a znakiem naszych czasów jest nieszczęście uchodźców i nad nimi pochylić się powinniśmy, solidarność okazać i naszymi tępymi jeszcze reporterskimi piórami wykuć lepszą przyszłość dla świata, dla tych obcych, innych znaczy się. Uchodźca, imigrant to tematy oklepane, jak pieniądź w rękach sknery obejrzany pięć razy z każdej strony, więc wymyśliłem to sobie inaczej. Schowałem pomysł za pazuchę i jak z gotowym do strzału rewolwerem czekałem, żeby wypalić ze swoją odkrywczą myślą. I wypaliłbym olśniewając wszystkich odkrywczością, gdyby nie Grzebałkowska.

- Nooo, ale nie musicie pisać o uchodźcach. Inny, to np taki "słoić". Nie tylko w Warszawie mają słoićów.

- No dobra - pomyślałem - punkt dla ciebie chudzino. Temat, jak temat, ale liczy się rozwinięcie, a jak ja Ci rozwinę, to oko zbieleje wszystkim, co materiału będą szukać od Syrii przez Lampedusę z punktem kulminacyjnym w kebabach na Gdańskiej Starówce. A czy Gdańsk ma Starówkę? Zapytaj kogokolwiek, a od razu dowiesz się, czy swojak.

Experimentum crucis. Test na gdańskość, bo nawet jeśli wbrew historycznym nazwom dzielnic uzna istnienie starówki, to lokals będzie miał świadomość grzechu pierworodnego. A obcy? A to zależy, bo są i tacy, co Długą nazwą deptakiem, ale o tych nie rozmawiamy. Podzieliłem się moim pomysłem z żoną, a ona wpadła w hiperaktywną fazę:

- Super, przecież Ola, Ania i... (tu wymieniła kolejne nasze znajome, które sprowadziły się do Gdańska z innych części Polski).

- No dobra, ale żadna z nich nie jest słoićkiem, to już takie zasiedziałe... no...

konserwy raczej.

- Oj tam, to zrób reportaż o konserwach. Przecież one też kiedyś były tu obce, a poza tym są pod ręką, a ty nie masz czasu latać za słoićkami.

Co racja, to racja. No i zaległości towarzyskie nadrobimy. Kobięcy pragmatyzm jest nie do przecenienia. Zabrałem się do roboty. Szło to tak:

- Byliśmy ze sobą pół roku i on mi powiedział "a może przeprowadzimy się do Gdańska?" No, super, pomyślałam. Miasto stare, ładne, z bogatą historią, kina, teatry, muzea będzie co robić. Właściwie jak u nas w Krakowie, więc czemu by nie.

- No i... - rzucałem nieprzeciętnie zachęcająco.

- No i zamieszkaliśmy we Wrzeszczu i wiesz, ja przez pierwsze lata miałam wątpliwości, czy to na pewno Gdańsk - budownictwo nowe, morza nie widać, sama nie wiem...

- Tak, bo widzisz, my w Gdańsku jak jedziemy do Centrum, to mówimy, że jedziemy do Gdańska, zupełnie jakby dzielnice, w których mieszkamy były poza miastem - wyjaśniałem uprzejmie. Albo tak szło:

- Przyjechałam na studia i od początku podniecała mnie możliwość spacerowania po plaży. Do dziś robię to prawie codziennie i kiedy znajomi, co mieszkają tu od urodzenia pytają, czy już mi się znudziło, po upływie tylu lat ciągle zaprzeczam.

- Tak, bo widzisz, my w Gdańsku tak mamy, że jakoś nad to morze nas nie ciągnie rzucałem.

A bywało, że szło następująco:

- Zanim się sprowadziłam do Gdańska, myślałam, że mówicie po kaszubsku, tak jak u nas mówiło się po śląsku.

- Tak, bo widzisz, my w Gdańsku... - i tu robiłem krótką prelekcję o pochodzeniu lokalsów i tym podobnych sprawach.

Towarzystwo sobie użyliśmy. Ja pytałem, one mówiły, żona słuchała i mówiła mi, jakie to cudowne, bo tyłu ciekawych rzeczy się dowiedziała o znanych od lat osobach, z którymi nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy. I patrzyła na mnie tak, że przestałem żałować, że nie jestem gitarzystą w zespole rockowym, więc i kryzys wieku średniego ukoilem. Tylko entuzjazm mojej żony jakoś mi się nie udzielał. Czegoś mi tu brakowało, pytałem i pytałem, ale nie mogłem wycisnąć tego, co czułem, że wyciśnięte być powinno. No dobra, morze, starówka itede itepe, ale co z porażeniem genius loci, co z Weiserem Dawidkiem, co z Oskarem, no żeby chociaż znalazły tu swoje Westerplatte, no przecież każdy ma swoje Westerplatte, no każdy!

Z tego niedosytu zapadłem się w siebie. Wszystko jest jak należy. Ciekawi rozmówcy, moc doświadczeń, a ja jakoś wiedziałem, że temat buja się gdzieś indziej. A przecież pewny byłem, że jak przyjeżdża się do Gdańska, to czuje się innym, obcym, bo to miejsce tak specjalne, jak żadne inne, no w swoim rodzaju jedyne, perła w koronie i Macondo dolnej Wisły. Wiedziałem to. Właściwie to chciałem zacząć reportaż od opowieści, która lata za mną chodziła i wydawało mi się, że znalazłem dla niej właściwą narrację: Adam wsiadł w pociąg w Krakowie i wysiadł w Gdańsku Głównym. Dalej ruszył tramwajem i sprawdzili mu bilet. Nic nadzwyczajnego, ale on właśnie wtedy, w pierwszym swoim spotkaniu z Gdańskiem poczuł się obco. Bo nie rozumiał, dlaczego wokół kanarów tęższe atmosfera wrogości, czemu pasażerowie solidaryzują się z gapowiczami. U niego w Krakowie jazda bez biletu to kradzież, a kontroler to ramię sprawiedliwości. Fabularyzowaną wersję tej opowieści puściłem mailem do Grzebałkowskiej. - Wiesz - odpisała - nie rozumiem, czemu

stosunek do kanara ma być wyrazem tutejszej odmienności. Sprawdź, jak jest w innych miastach. Może pogrzebiesz na forach internetowych, będziesz miał szerszy obraz.

- Magda - odpierałem przy kolejnym spotkaniu - mnie nie chodzi przecież o portret socjologiczny, o jakąś średnią statystyczną, ale o prawdę jednostkową, o to że Adam poczuł się tu obcy, że poczuł coś tutejszego, czego nie miał u siebie, poczuł się w roli innego. - No - chrupnęła paluszka, a w mojej głowie zgrzytnęły trybiki i coś zaczynało świtać

Wróciłem do domu i raz jeszcze spojrziałem w notatki. Jak w kryminałach - detektyw przez cały film był o krok od rozwiązania zagadki, chodził z mordercą za rękę, patrzył mu w oczy i myślał jaki to jest sprytny...

Teraz, zgodnie z zasadami dramaturgii, powinienem założyć szary trenecz, kapelusz, pójść na drinka, zawierzyć się barmanowi, wysłuchać jakiejś jego historyjki, posnuć się po deszczowych miejskich zaułkach i rano obudzić się z kacem i gotowym rozwiązaniem zagadki. No ale obyło się bez takich poświęceń. Grzebałkowska wystarczyła mi za barmana i cały ten sztafaż ala Marlow, czy inny Cybulski. Patrzyłem w notatki i zobaczyłem to, czego wcześniej starałem się nie zauważać. Wróciłem do tego:

- ...myślałam, że mówicie po kaszubsku, tak jak u nas mówi się po śląsku. To znaczy w moim regionie, bo w moim mieście, to mówimy tak jak Wy, bo większość ludności jest napływowa. - No tak - przytakiwałem - jak się nasze dziadki tu zjechały z całego terenu przedwojennej RP, to tylko po wszechpolsku mogli się dogadać. - Taki los poniemieckich miast, jak moje i twoje - ciągnęła. - Pewnie dlatego od razu poczułam się tu jak u siebie w Gliwicach. Poza tym zamieszkałam

w Oliwie, przedwojenny klimat tej dzielnicy wzmógł to poczucie swojskości. Jak w Gliwicach... czy coś mogło brutalnie wybudzić mnie z dogmatycznej drzemki? Mogło.

- Jestem historykiem sztuki, a mimo to nie zwróciłam od razu uwagi na ten niuans. Myślałam "Stare miasto, zabytki, fajnie", a jak już tu mieszkałam dotarło do mnie, że większość historycznej tkanki została odbudowana w latach pięćdziesiątych i później. Był to jednak dla mnie szok, bo to tak, jak w Warszawie, a my w Krakowie bardzo nie lubimy Warszawy. Jak w Warszawie...

To nie była dogmatyczna drzemka, to był sen, narkoza, mentalne zatwardzenie! Widocznie zażyłem w młodości tyle Huellego i Chwina, naoglądałem się tyle albumów Tuska (tak, tak, tego od dziadka w Wehrmachcie), wypilem tyle goldwassera i machandla, że nie mogło to nie zostawić skutków ubocznych. Pewnie legenda Solidarności, grudnia, sierpnia i czerwca odcisnęła mi się na duszy tak, że choć sam bym się do tego nie przyznał, uczyniłem z Gdańska Mesjasza polskich miast wojewódzkich, powiatowych i wszelkich innych.

A zaczęło się niewinnie. Przecież kto czyta, nie błądzi. Kto pyta, się dowiaduje. Pytanie o innych było pytaniem o mnie samego, ale odpowiedź... nie tak miała wyglądać. Bo wszystko zgadza się zawsze dopóki pytamy samych siebie, ale skoro już zacząłem pytać innych, to już nie mogłem zostać takim, jakim byłem wcześniej. Teraz czuję się tu obco.

**Tekst powstał podczas warsztatów reporterskich GDAŃSK – MIASTO OTWARTE, prowadzonych przez Magdalenę Grzebałkowską w ramach All About Freedom Festival**

# Granice wolności

PATRYK KOPROWSKI

**Kontrowersje, dotyczące inwigilacji, to problem złożony, gdyż na początku musimy zdefiniować, czym dla nas jest wolność, by móc stawiać jej granice. Granice umowne i zależne od wielu czynników takich jak: kultura, wiara, historia czy ekonomia. .**

Czym jest inwigilacja, każdy chyba wie, a jeśli nie, to jest w stanie wyszukać sobie o tych informacji paradoksalnie w jej naturalnym środowisku, czyli Internecie. W cyberprzestrzeni, która za sprawą swej wszechobecności stała się dla nas czymś oczywistym, a nawet trywialnym. Na co dzień nie zadajemy pytań, jaką rolę pełni ona w naszym życiu i czy niesie ze sobą jakieś niebezpieczeństwa. Kwestia inwigilacji stała się jednak żywa za sprawą Edwarda Snowdena, który ujawniając informacje dotyczące działań NSA, wstrząsnął światem. Wykazał bowiem w jak łatwy, nieograniczony i masowy sposób można pobierać informacje. Szerzej o tym opowie nam film Friedricha Mosera *Dobry Amerykanin*, który będzie wyświetlany dziś na AAFF. Jest to już drugi film tego reżysera, który podejmuje tematykę społeczną. Ja natomiast, korzystając z tego, że mamy już 5 dni festiwalu za sobą, zapraszam przed filmem do refleksji nad samą definicją wolności.

Nie istnieje chyba

uniwersalna definicja wolności. Zdaje się nawet, że nie ma żadnej, która w sposób dobry i pełny określiłaby jej ramy. Żyjemy bowiem w XXI wieku w kraju, który wciąż mocno żyje okresem II Wojny Światowej, co nie jest niczym dziwnym, gdyż okupacja dla nas skończyła się symbolicznie w roku 1993, kiedy ostatni żołnierze wojsk sowieckich opuścili granice Polski. Jesteśmy zatem narodem, który nie jest w tym aspekcie osamotniony, ale w sposób szczególny umiłował sobie wolność w historycznym ujęciu niepodległości. Poczucie wolności nie ogranicza się jednak dla nas tylko do autonomii kraju. Uwarunkowana cywilizacyjnie i kulturowo idea ta wiąże się bardziej z jednostkową wyjątkowością duszy, zakorzenionej w religii chrześcijańskiej, pomijając jaki posiadamy do tego stosunek. Zachodni krąg kulturowy, tworzy zatem wielkie społeczności indywidualistów. Inaczej sprawa może wyglądać w azjatyckich kulturach, które zdają się chętniej tworzyć społeczności zwarte, jednolite. Często niesprawiedliwie oceniamy ich jako

zindoktrynowanych i niezwykle uległych obywateli. Łatwo zarzucając, że żyją w dyktaturach, odmawiając im tym samym zdolność do bycia szczęśliwymi i wolnymi ludźmi. Uchwycenie definicji wolności jest wyjątkowo trudne. Uwarunkowania kulturowe, religijne i historyczne silnie determinują jej rozpatrywanie. W najprostszym rozumieniu wolność, to myśl w naszej głowie, że sami decydujemy o swoim losie, że posiadamy nieograniczony potencjał do działania. Gdzie w tych rozważaniach umiejscowić refleksję nad inwigilacją? Na ile wolność w Internecie jest dla nas ograniczająca? Może film Mosera pozwoli nam na te pytania odpowiedzieć.

**POKAZ FILMU  
DOBRY AMERYKANIN  
DZIŚ O 18:00**



# Marco Bellocchio – geniusz się starzeje

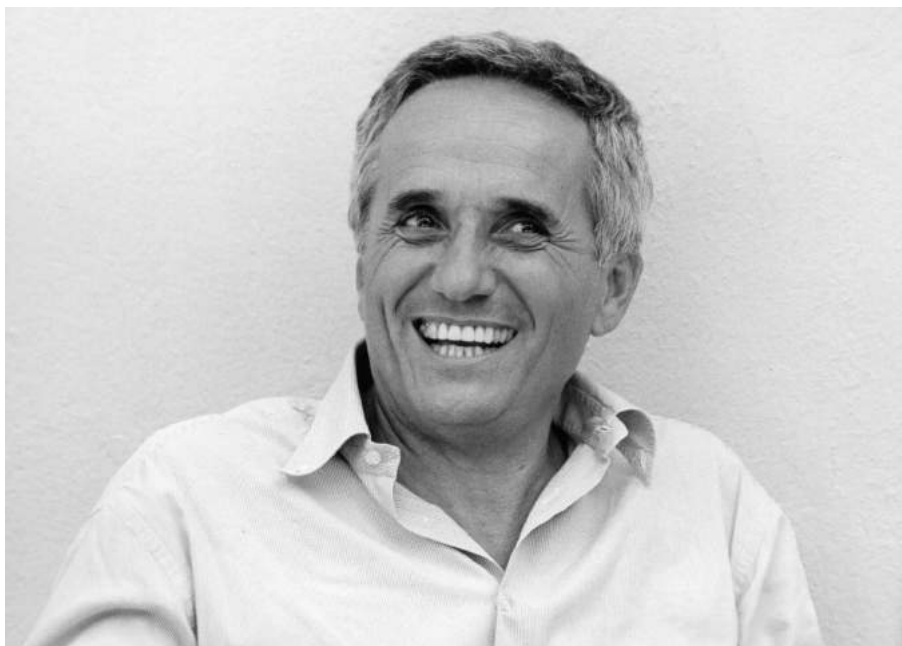
KAROLINA WARYŚ

**Legenda włoskiego kina, Marco Bellocchio, pomimo swoich 77 lat nadal z powodzeniem tworzy filmy. Jedno z jego najnowszych dzieł możemy zobaczyć w ramach All About Freedom Festival. Przekonajmy się, jak bardzo zmieniło się jego postrzeganie świata.**

Twórca pojawił się tuż przed kontrowersyjnym okresem kina kontestacji. Mimo to jego pierwszy długometrażowy film fabularny, *Pięści w kieszeni*, który wyświetlony został po raz pierwszy 31 lipca 1965 roku na festiwalu w Locarno, idealnie wpasowuje się w prawidła kontrkultury. To dzieło niecodzienne, niewygodne, wręcz szokujące niektórymi scenami, traktujące o maniakalnej stronie umysłu człowieka. Mnóstwo w nim rozpacz i nieszczęścia, doprowadzających do granic wytrzymałości psychicznej. Fabuła nie jest przesadnie skomplikowana, jednak zawiera ogromne nakłady silnych emocji. Ten rok był nową erą dla kinomanów. Świat ujrzał Bellocchia i miał szansę się w nim zakochać. Dwa lata później powstał obraz *Chiny są blisko*, mroczna, a zarazem zabawna satyra polityczna, która miała na celu zdemaskowanie ówczesnego społeczeństwa.

W dwudziestoczerominutowym segmencie w *Miłości i gniewie* z roku 1969 o protestującej grupie studentów, Bellocchio po raz pierwszy nie pozwolił wątkom melodramatycznym odciągnąć uwagi widza od kwestii politycznych. Wykorzystał też wyłącznie przestrzeń publiczną, co nadało historii uniwersalny charakter. Nie ma tutaj miejsca na domowe dramaty rodzinne.

Na początku lat siedemdziesiątych artysta pokazał *W* imię ojca, czyli gwałtowny atak na klerikalny system wychowania. Głównym wątkiem filmu jest nieposłuszeństwo chłopców w katolickiej szkole z internatem. Widz skupia się na protagoniście, Angelo, chłopcu pochodzącym z porządnej, średnio zamożnej rodziny, który dołącza do szkoły w ostatnim roku nauki. Odrzuca



jednak normy przyjęte w instytucji. Znajduje partnera w zbrodni i zaczyna rebelię.

Dajcie na pierwszą stronę, rok 1972. Przyszedł czas na oczernienie prasy. Bellocchio przedstawia to środowisko jako skorumpowane i uwikłane politycznie, manipulujące biednymi obywatelami i bawiące się ich naiwnością. Marsz triumfalny to rok 1976. Opisuje losy młodego mężczyzny, absolwenta uczelni, który nie wie, co zrobić ze swoim życiem. Ostatecznie decyduje się na wstąpienie do wojska i wdaje się w romans z żoną kapitana. Skok w pustkę z roku 1980 opowiada o bezbarwnym życiu rodzeństwa w średnim wieku, uwikłanego w dość specyficzną relację pełną osobliwych rytuałów. *Oczy, usta* (1982) obrazuje losy wypalonego aktora, powracającego w rodzinne strony z powodu pogrzebu brata bliźniaka. Bellocchio, jak widać, cały czas krąży wokół tematyki dramatu rodzinnego, sekretów i napięć pomiędzy jej członkami. Potem nakręcił

dwa filmy, będące adaptacjami literackimi – *Henryka IV* oraz *Diabła wcielonego*.

U schyłku lat osiemdziesiątych na światło dzienne wychodzi *Sabat czarownic*, przedziwna kreacja opowiadająca o młodej dziewczynie, która twierdzi, że jest czarownicą na usługach diabła. Dekadę lat dziewięćdziesiątych otwiera *Wyrok*. W późniejszych latach Bellocchio tworzy takie filmy jak *Sen motyla* (1994), *Książę Homburg* (1997), *Czas religii* (2002), *Witaj, nocy* (2003), *Reżyser ceremonii ślubnych* (2006), *Zwycięzca* (2009), *Śpiąca królowa* (2012), *Krew z mojej krwi* (2015) oraz nasz tegoroczny faworyt – *Słodkich snów*.

Nie sposób opisać dokonań Bellocchia w jednym krótkim artykule, jednak jako widzowie, możemy już dzisiaj cieszyć się z faktu, że mamy okazję zobaczyć najnowszy pełnometrażowy film mistrza. A jak plasuje się na tle jego wcześniejszych dokonań? Idźcie na seans i przekonajcie się sami!

# OSTATNIA STRONA



Dziś na ostatniej stronie dziękujemy wszystkim, bez których nie byłoby AAFF. Jeśli ich spotkacie, powiedzcie im: Dzięki, dobra robota! Na pewno to docenią. Wolontariusze, ekipo techniczna, ludziki za kulisami - jesteście wspaniali! <3

Redaktorki prowadzące: Krystyna Weiher, Paulina Pohl

Korekta: bywa różnie

Wydawca: Europejskie Centrum Solidarności

"Jednodniówka" festiwalowa jest współtworzona przez studentów I, II i III roku Wiedzy o filmie oraz Kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim

Autorem wszystkich zdjęć z ostatniej strony jest jak zawsze nieoceniony Grzegorz Mehring ;) Dziękujemy!



NO EJ!

[jednodniowka-redakcja@wp.pl](mailto:jednodniowka-redakcja@wp.pl)